

Autor, który trafiał w sedno

POŻEGNANIE | Zmarł Wojciech Młynarski, poeta, mistrz piosenki, kabaretu, teatru i pięknej polszczyzny. Miał 75 lat.

JACEK MARCZYŃSKI

Jeśli się dorasta w takiej rodzinie jak on, trzeba zostać artystą. – Siostra mamy, Maria Kaczurbina, była świetną kompozytorką piosenek dla dzieci. Mieszkaliśmy we wspólnym domu pod Warszawą i co wieczór grało się u nas i śpiewało – opowiadał kiedyś Wojciech Młynarski. – Odbywały się koncerty w wykonaniu kolegów mamy, a gdy mama zaczęła pracować w Polskim Radiu, wystąpił raz w naszym domu z recitalem swych piosenek Henryk Rostkowski. Ponadto mieliśmy adapter i przedwojenne płyty między innymi z piosenkami Hemara, a kompletu atrakcji dopełniało radio, w którym słuchałem pasjami jazzowych audycji Willisa Conovera z Waszyngtonu.

W tym domu, którego atmosferę – całkowicie odmienną od rzeczywistości PRL z lat 50. – przypomniat już jako dojrzały twórca w poetyckiej piosence „Truskawki w Milanówku”, kształcił swe muzyczne ucho od najwcześniejszych lat. Smak literacki rozwijał zaś na Uniwersytecie Warszawskim, który nie był wówczas akademicką szkołą jak wiele dzisiejszych uczelni.

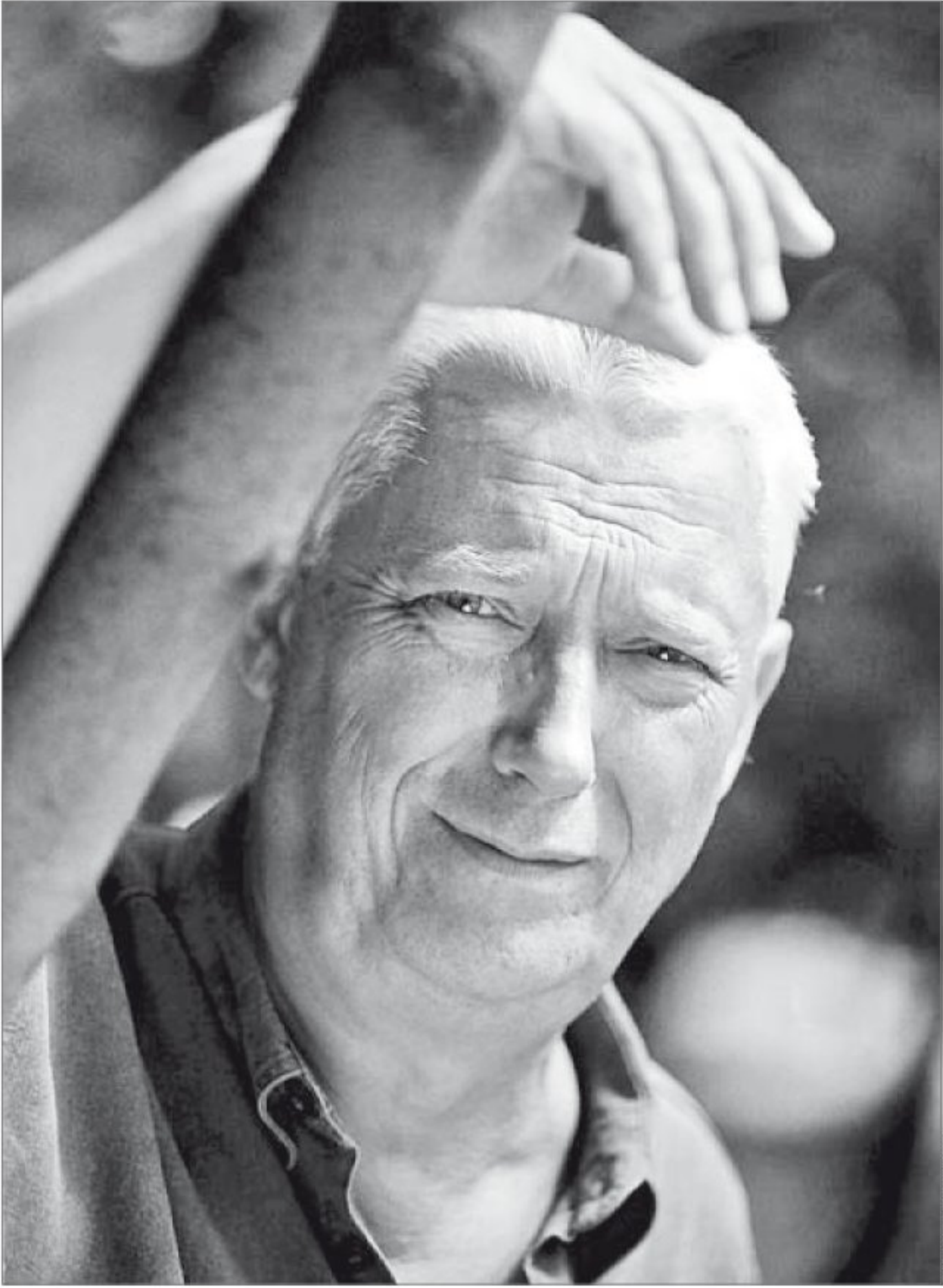
Grafik zajęć studenckich na Wydziale Polonistyki nie był przesadnie zapełniony, resztę czasu poświęcało się na lektury, poważne dyskusje, zabawę w kabarety i awangardowe teatryki. Młodziutki Wojciech Młynarski doskonale się odnalazł w tym intelektualnym środowisku, a że miał przy tym rzecz bezcenną i rzadką: talent, szybko zwrócił na siebie uwagę w studenckim klubie Hybrydy.

Pierwsze wyróżnienie na Festiwalu Piosenki Polskiej w Opolu, którego przebieg śledził wówczas cały kraj, otrzymał, mając 22 lata. Na następnym, w 1964 r., zgarnął już dwie główne nagrody (za piosenki „Z kim tak ci będzie źle jak ze mną” i „Spalona ziemia”). Przez następnych kilkanaście lat trudno było o taką festiwalową edycję, w której nie zostałby uhonorowany.

Ta passa została przerwana dopiero w latach 80., przede wszystkim dlatego, że po stanie wojennym nie chciał swoim nazwiskiem wspierać tej państwowej imprezy. Znacznie cenniejsza stała się dla niego otrzymana w 1982 r. nagroda Solidarności za recital „Róbmy swoje”.

Napisał w sumie jakieś dwa tysiące piosenek. Jest w nich kilkaset autentycznych przebojów, które śpiewane są od kilku dekad: „Wszystko mi mówi, że mnie ktoś pokochał”, „Jeszcze się tam żagiel bieli”, „Prześlizna wiolonczelistka”, „Nie ma jak u mamy”, „Dziewczyny, bądźcie dla nas dobre na wiosnę”, „Ach, co to był za ślub”, „Słodkie tango retro”, „Moje serce to jest muzyk”...

Najcenniejsze były jednak te piosenki z lat 60. i 70., w których pokazał absurdalną rzeczywistość PRL. W „Światowym życiu” przedstawił marzenie, by na eleganckim Balu Spółdzielców zjeść kanapkę „wartą chyba pięć czterdzieści”. „Niedziela na Głównym” była odpowiedzią na francuski przebój Gilberta Becauda o niedzieli na paryskim Orly. Zachód miał wielkie lotniska, my zapyziały dworzec w centrum Warszawy. „W Polskę idziemy” to drapieżny obraz życia, kiedy to po tygodniu szarej pracy trzeba było się upić i uciec od



♦ Wojciech Młynarski (1941–2017)

„barchanowych żon”. Każda z tych piosenek była perfekcyjnie skonstruowana, co nie bez pewnego żalu podsumowała Agnieszka Osiecka.

– Można powiedzieć, że wyhodowałam węża na własnej piersi – opowiadała. – Kiedy pracowałam w radiu, zjawił się któregoś dnia chudy ambitny chłopczyna i to ja sama, nie wiedząc, co czynię, nagrałam pierwszą piosenkę tego chłopczyny. Piosenki Młynarskiego różnią się od moich in plus tym, że są porządnie porymowane, dowcipne i mają puentę. To ostatnie nie udaje mi się prawie nigdy.

Wiele jego literackich pomysłów weszło do potocznego języka, by wspomnieć frazę „Pucio, pucio” z „Jesteśmy na wczasach”, nieszablonowe

użycie słowa „bynajmniej” w piosence o tym samym tytule czy stwierdzenia: „trzeba wiedzieć, kiedy w szatni płaszcz pozostał przedostatni” albo „Ludzie to lubią, ludzie to kupią, byle na chama, byle głośno, byle głupio”. I to on jest autorem najważniejszego hasła – „Róbmy swoje” – które już kilka pokoleń Polaków stosuje w różnych sytuacjach ekonomiczno-politycznych.

Zachęcony u progu kariery przez największy wówczas autorytet estradowy, jakim był Kazimierz Rudzki, nie ograniczył się do pisania dla innych, lecz sam zaczął wykonywać własne utwory. Nie miał wielkiego głosu, nie kreował siebie na piosenkarza, na autorskich recitalach rozmawiał z publicznością o Polsce, posługując się

stworzoną przez siebie formą tak zwanych felietonów śpiewanych.

W jednym z nich w epoce gierkowskiej przewrotnie stwierdzał: „Bo satyra, ta prawdziwie nowatorska, winna przestać się wybrzydzać oraz żalić, nie powinna krytykować, ale śmiało akceptować oraz silnie, ostro i odważnie chwalić!”. Ale sam w tej dekadzie podpisał tzw. List 101 – protest intelektualistów przeciwko planowanym zmianom w Konstytucji PRL – i jego utwory na mniej więcej rok zniknęły z oficjalnych mediów, nie mógł też występować.

Był jednak artystą tak wielu talentów, że zawsze potrafił znaleźć dla siebie zajęcie. Znakomicie przekładał teksty największych mistrzów piosenki – Bułata Okudźawy, Włodzimierza Wysockiego czy Jacques’a Brela, co stosunkowo niedawno przypomniał Michał Bajor dwupłytowym albumem „Od Piaf do Garou”. Pisał dla filmu i dla teatru, jest też autorem przekładów piosenek w słynnych musicalach („Jesus Christ Superstar”, „Chicago” czy „Kabaret”).

Po 1989 roku stopniowo jednak zaczął schodzić z pierwszego planu. Z różnych powodów, przede wszystkim zdrowotnych, od dawna cierpiał na tak zwaną chorobę maniakalno-depresyjną, w której okresy dobrego samopoczucia mieszały się z depresjami. Znacznie ważniejsze było wszakże to, że nie czuł się tak potrzebny jak dawniej.

W nowej rzeczywistości, kiedy wszyscy mogli mówić wszystko, coraz bardziej się klóć i obrażać, jego inteligentna, staranna, finezyjna polszczyzna została zastąpiona bełkotliwą nowomową, zaś jego aluzyjne teksty straciły dawną siłę. Na dodatek we współczesnym show-biznesie niemal każdy wokalista i co drugi kompozytor uważa, że sam może

sobie pisać teksty. Nieważne, że większość z nich jest nieporadnie sklecona i żadna ich fraza nie zostaje w pamięci słuchaczy. Czas profesjonalistów i mistrzów literackich puent się skończył. Wszyscy uważają, że i tak trafią w sedno.

Tego zapewne nie da się już zmienić. Można tylko powtórzyć za Wojciechem Młynarskim: „Celnych owych wypowiedzi słucham przeto, rozmyślając sobie czasem przy ich wtórze, Czy ci ludzie w jednej chwili tacy mądrzy się zrobili, Czy to sedno się zrobiło takie duże?”.

Co zatem zostanie po Wojciechu Młynarskim? Odpowiedź wydaje się prosta. Znakomite piosenki, które tak jak utwory Agnieszki Osieckiej, Jeremiego Przybory czy Jonasza Kofy z pewnością będą

RZECZPOSPOLITA

PISALIŚMY O TYM:

Rozmowa Jacka Cieślaka z Wojciechem Młynarskim

„Patrząc z zażenowaniem” 21 października 2008 r.

archiwum.rp.pl

śpiewać kolejne pokolenia wykonawców.

Chciałoby się jednak, by nie pozostały w cieniu także inne, znacznie poważniejsze dokonania – realizowane przez niego świetne spektakle teatralne, przypominające najlepsze dokonania polskiego kabaretu, a przede wszystkim jego zabawne libretta do opery Karola Kurpińskiego „Henryk VI na łowach” i do „Awantury w Recco” z muzyką Macieja Maleckiego, musicale: „Cień” czy świetny i niedoceniony „Dyzma” z muzyką Włodzimierza Korcza. Należy jednak się obawiać, że w dzisiejszych czasach, gdy obowiązuje nieustanna pogoń za nowościami, trudno będzie znaleźć tych, którzy zechcą przypomnieć te autentyczne skarby. ☹

WSPOMNIENIA

Miałam dla niego specjalne zadanie i prośbę

→ IRENA SANTOR WIELKA GWIAZDA POLSKIEJ PIOSENKI, DLA KTORÉJ WOJCIECH MŁYNARSKI PISAŁ TEKSTY PRZEZ WIELE LAT.

Z myślą o płycie „Punkt widzenia”, wydanej w 2014 roku, zadzwoniłam do Wojtka i powiedziałam: „Wojtusi, mam teraz specjalną prośbę. Do tej pory było wszystkie pięknie, śpiewałam o kwiatach, o bratkach, ale teraz napisz mi piosenkę o starości”. „Proszę?” – odpowiedział. „O starości” – powtórzyłam zdecydowanie. Dopytywał dlaczego. Najważniejszy okazał się argument, że jestem w naszym środowisku najstarsza i mam prawo oraz obowiązek dotknąć tego tematu, ponieważ o nas, starych, się

dba, jednak jest zawsze jakieś „ale”. Młodzi się denerwują, że wolniej chodzimy, że nie tak sprawnie jak oni myślimy. Nie prosiłam jednak o piosenkę płacziwą, a jedynie zaznaczając, że patrzę na życie z dystansem. Wiedział, co mam na myśli, bo znaliśmy się już, gdy byłam w zespole Mazowsze. Mieszkał w pobliskim Komorowie i jego ciotka uczyła nas solfeżu. Kiedy przeczytałam gotowy tekst „Starość to nie jest wiek”, powiedziałam „Wojtuś, całuję cię w serce”. Zasugerował też

muzykę Seweryna Krajewskiego. Powstała jedna z najważniejszych piosenek w moim repertuarze. Na „Punkcie widzenia” jest sześć piosenek Wojtka, m.in. „Profesorowie” dedykowani tym, którym coś w życiu zawdzięczam. Pięknie napisał: „Czasem wiosenne pierwsze liście, a czasem mądry wiersz noblistki.../To moi profesorowie”. A parę lat wcześniej napisał dla mnie „List do pana Balzaka”. Powiedziałam mu: „My wszyscy śpiewamy twoje piosenki, jakbyśmy byli w twoim chórze, napisz coś specjalnie dla mnie”. Napisał i objął mnie „Liście do pana Balzaka”, kim jestem. Wojtka nie ma z nami, trochę mnie zdradził. Ale są jego piosenki. ☹

—j.c.

Zostały mi jeszcze trzy piosenki

AGNIESZKA WILCZYŃSKA

PIOSENKARKA JAZZOWA MŁODEGO POKOLENIA.

Kiedy w 2007 r. powstawała płyta „Pogadaj ze mną” Wojciecha Młynarskiego i Włodzimierza Nahornego, Wojciech przyszedł na mój koncert do Teatru Polonia. Podobał mi się, uściskał mi mocno dłoń i zaprosił do współpracy. Po premierze jeździł z nami i prowadził koncerty. Był dla mnie życzliwy, obdarzył mnie zaufaniem i sympatią. Jednocześnie był wymagający, bezkompromisowy. Nie lubił głupoty, nachalności, braku kultury. To był czas, kiedy byłam nieśmiała i mówił mi:

„Agniecha, do przodu”. Motywował mnie, wspierał. Potem zaprosił Wojciecha na mój koncert jazzowy. Śpiewałam z trio Andrzeja Jagodzińskiego m.in. „Szafę” Młynarskiego do muzyki Komedy. Podobała mu się moja interpretacja i zapytał, dlaczego nie nagrałam jeszcze solowej płyty. Odpowiedziałam, że nie mam tekstów. „To ja ci napiszę!” – zadeklarował. Po dwóch tygodniach zadzwonił i powiedział: „Agniecha, przyjeżdż do mnie, bo już mam cztery teksty”.

—j.c.

DLA „RZECZPOSPOLITEJ”

Płyta „Tutaj mieszkam” powstała dzięki Wojciechowi! Dopytywał się, czy aranżacje są gotowe. Był obecny podczas pierwszych sesji nagraniowych. Dlatego, odbierając rok temu statuetkę Fryderyka za naszą płytę „Tutaj mieszkam”, zadedykowałam nagrodę Wojciechowi Młynarskiemu. Chociaż nie wszystkie historie brzmią optymistycznie, zawsze dają nadzieję. To cenię sobie najbardziej. Zostały mi jeszcze trzy piosenki z tekstami Wojciecha, w tym „Ja się nie przyzwyczaję” – protest song skierowany przeciwko bylejakości, brakowi kultury, czyli temu, czego nigdy nie tolerował na świecie. „Ja się nie przyzwyczaję” – kompozycja Jerzego Derfla – ma już gotową aranżację. Może to będzie załazek nowej płyty? ☹